

AMBICJE

Lubię ulice miasteczka, jego stare i nowe domki spięte kamiennymi schodami ze wstęgą chodnika; urzeka mnie cisza, raz po raz wyplaszana krokami przechodnia. Dzień tu jest dłuższy niż w zgiełkliwym i ruchliwym wielkim mieście. Wydawałoby się, że w tym środowisku ludzie pędzą bezgrzeszne lata.

Złożyłem wizytę jednemu z sędziwych działaczy, byłem u młodego lekarza, rozmawiałem z przewodniczącym prezydium miejskiej rady narodowej, uciałem pogawędkę ze „zdmisjonowanym” kupcem i innymi mieszkańcami. Zebrany materiał wypełnił notes. Już miałem zabrać się do pisania o miasteczkowych bohaterach i antybohaterach, obywatelach i „nie obywatelach”, ale w porę zorientowałem się, że to, co zebrałem, odnosi się właściwie do każdego wielkopolskiego miasteczka, że jeśli wymienię jego nazwę i nazwiska ludzi, zimnowojenne nastroje mogą przekształcić się w ostry konflikt. Stąd piszę o miasteczku bez podawania adresu i o ludziach bez nazwisk.

Miasteczko podzielone jest na kilka „przeciwnostawnych” sobie grup. Jedną tworzą „obywatele” czyli zasiedlający od pokoleń właściciele domów i ziemi, związani ze sobą pokrewieństwem, sąsiedztwem, dawną przynależnością do tych samych organizacji społecznych, posiadacze dużych kredensów i fortepianów, na których pokolenia cór na wydaniu wygrywały walczki, ludzie z „dobrych domów”, żyjący przeszłością, zapatrzeni w nią tak bardzo, iż nie widzą teraźniejszości. Uważają się oni za jedynych patriotów miasteczka, jedynie rozsądnych i mądrych.

Druga grupa — to lokatorzy i sublokatorzy „obywatelskich” domów, jedynego bloku mieszkalnego, właściciele nowo pobudowanych domków jednorodzinnych — ludzie „niższej” warstwy społecznej, robotniczej, często obcy przybyś — ze wsi i innych miasteczek. Dlaczego zagrażają „obywatelom”? Po pierwsze — dawniej gnieźdzące się w jednoizboowych mieszkaniach robotnicze rodziny korzystając z nowej polityki lokalowej władz rozszerzyły swoje przestrzenie mieszkalne, uszczuplając o którąś tam izbę wielopokojowe mieszkania „obywatelskie”. Po drugie — po okupacji władzę miejską opowiedzieli przedstawiciele tej „niższej” warstwy społecznej i wywodzący się z niej nowi inteligenści. Ci i napływowi inteligenści, więcej ceniący swoje dyplomy średnich i wyższych szkół nad świadectwa mistrzowskie i listy uznania organizacji kupieckiej, zajęli stanowiska kierownicze różnych uspołecznionych zakładów pracy. Tym samym dawniej rządzący stali się rządzonymi, a rządzeni — rządzącymi.

Przebiega tu jeszcze kilka innych podziałów: urzędnicy i petenci, właściciele aparatów telewizyjnych i korzystający tylko z radiodiodników, kształcący swoje dzieci w średnich i wyższych szkołach i kształcący w zasadniczych szkołach zawodowych lub „u pana majstra”. Każda z tych grup na drugą patrzy albo z wyższego albo z niższego szczebla ustawionej tu w świadomości ludzkiej drabiny hierarchii społecznej. Każda z tych grup ma swoje nieco inne wzory społeczne, swoją obyczajowość.

Na ich straży stoi niezwykle silna kontrola społeczna, której funkcjonariuszami jest tu część kobiet, która z braku zajęcia codziennie przez okno obserwuje przechodniów. Żadna centrala informacyjna i wywiadowcza nie jest tak dobrze poinformowana, jak te domowe centrali, stojące na usługach zasiedzonego „świata” obywatelskiego.

Przybysz nie zdaje sobie sprawy z tego, jak jest obserwowany każdy jego krok, jak każdy ten krok jest wszechstronnie komentowany; mały błąd w postępowaniu lub życie nie zgodne z wzorami miasteczkowymi może tego przybysza pogrążyć w opinii publicznej i usunąć na margines życia społecznego.

Oto przykłady: Kierownicy zakładów pracy niedawno urządzili sobie towarzyskie przyjęcie z okazji imienin jednego z kolegów. Zagonieni przez cały rok na swoich zresztą nie bardzo wysoko opłacanych stanowiskach kierowniczych, chcieli ze sobą porozmawiać, podyskutować. Ludzka sprawa. Tymczasem zaalarmowana opinia publiczna poruszyła krąg „obywateli”, którzy zaczęli rozdierać szaty i wołać po kątach mieszkań, gospody i kawiarni: „Za naszych czasów tak nie było!”, „To łobuzy!”. Pracownicy oburzyli się: „Przepijają naszą krwawicę!”. Na to samo przyjęcie poszedł se-

krętarz prezydium miejskiej rady narodowej. Dojadła mu samotność, jaką tworzy jego funkcja zawodowo-społeczna. A że wywodzi się z robotników folwarcznych — oberwał nieludsko, bo zdradził klan pochodzeniowy i klan urzędniczy, chciał „wdrzeć się” rzekomo z łaski „dyrektorów”. Gdyby spili się w gospodzie do nieprzytomności, porozstawiał po kątach znajomych — byłoby mu odpuszczone.

Lekarz młody, prężny, naukowiec, złał zwyczajowo obowiązujące przykazanie udzielania bezpłatnej pomocy lekarskiej lokatorom zamieszkującym w tej samej klatce schodowej. Za tę pomoc, udzieloną o świecie, wziął sto złotych. „Co za materialista!”, „Co za sasiad!”, „Co za lekarz!” — biegło z końca na koniec miasteczka.

Strażnicy miasteczkowych norm społecznych w rozmowie ze mną dali przykłady bezpłatnej pomocy tego samego lekarza, udzielanej wielokrotnie biedniejszym rodzinom w godzinach pozasłużbowych, często nocnych.

Kierownik szkoły podstawowej od kilku miesięcy nie może dojść do równowagi psychicznej. Zdenerwował go to, że uczennica bez jego wiedzy, ale za wiedzą podwładnego mu nauczyciela wystąpiła na akademii z recytacją. Ileż to z tego powodu oburzeń, domysłów, debat — drobniąc poruszył cały mechanizm opiniujący w miasteczku.

I jeszcze kompleks „ważności”. Lekarz z racji swojej funkcji tak ważnej dla każdego człowieka, przewodniczący prezydium rady miejskiej z racji swojego stanowiska, prezes Gminnej Spółdzielni z racji parudziesięciu sklepów w miasteczku, dyrektor Banku Ludowego z racji tytułu magistra — każdy z nich uważa się za pierwszoplanową w miasteczku osobę. I jak tu coś zdziałać, kiedy żaden z nich nie chce się nagiąć do koncepcji, zamierzeń, inicjatyw drugiego działacza? Jeśli swojej koncepcji nie preferuje, obrażony wycofuje się z przedsięwzięcia.

Istnieje tu więc współzawodnictwo oparte o silne osobiste związki.

Dokończenie na str. 2



Przed kilkoma tygodniami, w lubińskim zagłębiu miedziowym urodził się obywatel, który zrównał w kraju liczbę ludności wsi i miast. Było to wydarzenie doniosłe, które każde społeczeństwo przeżywa tylko raz. Skutki tego wydarzenia, jak świadczą o tym przykłady z innych krajów, są rozległe i nieodwracalne.

Nie wiemy jeszcze dokładnie, kiedy i gdzie urodził się obywatel, który zrówna liczbę ludności wsi i miast Wielkopolski. W każdym razie długo czekać na to nie będziemy. Ludność miejska rośnie u nas bardzo szybko. Jeśli w roku 1949 na wsi żyło 1 270 000, a w miastach i osiedlach tylko 843 000 obywateli, to w roku 1965 liczba ludzi na wsi wzrosła wprawdzie do 1 330 000, lecz w miastach — do 1 233 000 osób. Jak z tego wynika, w ciągu 16 lat przewaga ludności wiejskiej skurczyła się u nas z 427 000 do 97 000 osób i nadal maleje. Jeśli więc przyjmujemy za podstawę szacunku fakt, iż w ubiegłej 5-lacie średni przyrost ludności wiejskiej wynosił 7 500 a miejskiej — 19 000 osób, to zrównanie powinno nastąpić gdzieś około roku 1974, jeśli nie wcześniej.

Demografowie twierdzą, że miasta będą nadal rosły. Szacują na przykład, iż w ciągu najbliższych 20 lat ludność miejska w kraju zwiększy się o połowę. W Wielkopolsce — nie co mniej. Mimo to powstaje wielki problem, gdzie ten przyrost ludności lokować: w nowych miastach czy w starych? Jeśli w nowych — to gdzie je budować? Jeśli w starych — to czy we wszystkich równomiernie?

Wydać się, iż pytań tych nie sposób zbyle staropolskim „Jakoś to będzie”. Spójrzmy bowiem, jak nasze miasta rozwijały się w ubiegłym 20-leciu.

Miejskich obywateli Wielkopolski przybyło w owym okresie około 450 000 osób. Z tej liczby sam Poznań wchłoniął 170 000, a pięć dalszych miast (tzw. wydzielonych): —

Kalisz, Ostrów, Gniezno, Piła i Leszno — następnych 100 000 osób. W sumie na te 6 miast przypada 60 procent całego przyrostu ludności miejskiej województwa w ubiegłym 20-leciu.

Spośród pozostałych 96 miast i osiedli najszybciej rosły: Konin, Turzek, Września, Chodzież, Środa, Nowy Tomyśl, Wolsztyn, Trzcianka i 12 innych miast powiatowych. Następnie takie miasta, jak Wronki, Kłodawa, Grodzisk, Zbąszyń, Rogoźno, Ujście i Witkowo oraz krąg miast — satelitów Poznania: Luboń (który przerósł ludnością już niejedno z miast powiatowych), Mosina, Swarzędz, Pobiedziska i inne. Wszystkie razem, jest ich 36, wzrosły w ubiegłym 20-leciu o 143 000 osób.

Jak z tego wynika, spośród 102 po-

Piotr Chojnacki

W obronie małych miast

łożonych w Wielkopolsce miast i osiedli, 42 ośrodki ściągnęły do siebie 90 procent wojennego przyrostu ludności miejskiej. Natomiast pozostałe 60 — wegetuje. Są wśród nich takie miasta, jak na przykład Koło, Słupca, Lwówek, Margonin, Kobylin, Międzybóże, Dobra czy Książ, które po wojnie zdołały zatrzymać u siebie tylko część swego przyrostu naturalnego. Są i takie, jak Borek, Błaszki, Stawiszyn, Dąbie, Krzywiń, Wielichowo, Sulmierzyce, Raszków, Grabów, Jutrosin, Zagórz, Dolsk i Pyzdry, w których ludność, w porównaniu ze stanem z roku 1945, nawet zmalała.

Mimo woli rodzi się pytanie, w jakim stopniu proces ten był zamierzony i czy chcemy go utrzymywać w następnym 20-leciu? Bowiem nie-

trudno dowiedzieć, że geografia przyrostu ludności miejskiej zgodna była na ogół z geografią rozdziału środków inwestycyjnych, a te rozdziała się przecież w sposób planowy. Nie wszystkie też inwestycje z góry związane są z określonym miejscem, jak to było w Koninie czy Turku. Znacząca część zamiast np. w Poznaniu, mogła trafić na przykład do Słupcy, do Pyzdr, bądź do Grabowa.

Istnieje także dostrzegalny związek między stagnacją rozwoju pewnych miast, a stopniem łatwości uzyskania w nich mieszkań. Wszędzie tam, gdzie jest rozwinięte budownictwo mieszkaniowe (dawniej komunalne a ostatnio spółdzielcze i zakładowe), nawet przy braku większych zakładów bądź inwestycji w toku, miasta są „stabilniejsze”. Stąd wniosek, że przy dzisiejszym stanie środków komunikacji publicznej (PKP i PKS) oraz masowym upowszechnianiu środków komunikacji indywidualnej (rowery i motocykle), odległość od miejsca pracy przestaje być czynnikiem decydującym o wyborze miejsca osiedlenia. Potwierdzają to też liczne nowe kolonie domków jednorodzinnych niemal przy wszystkich stacjach kolejowych, w dużym części promieniu od Poznania i innych przemysłowych ośrodków Wielkopolski.

Spośród miast przeżywających stagnację bądź spadek liczby ludności, żadne nie ma mieszkaniowej spółdzielni. Nic nie wskazuje też na rozpoczęcie w nich do 1970 roku tej przystępnej dla świata pracy formy budowania. Oznacza, to, iż przeciętny obywatel tych miasteczek, żonaty i dzieciaty, zarabiający średnio dwa tysiące złotych miesięcznie, nie ma praktycznie szans na dorobienie się nowego mieszkania z wygodami. Nie ma takiej szansy nawet wtedy, gdy jego mieszkanie zaczyna pękać od starości lub ciasnoty, bowiem budownictwo rad narodowych zostało ograniczone. Czy można się więc dziwić, że bardziej przedsiębiorczy mieszkańcy tych miasteczek przenoszą się tam, gdzie ich zdaniem, są większe szanse na poprawienie bytu?

Należałoby ustalić, czy z punktu widzenia interesów ogólnospołecznych takie masowe przenosiny są zjawiskiem korzystnym. Koszty zasiedlenia ludności rosną bowiem wraz z wielkością miast. Doświadczamy burzliwych lat rozwoju Poznania, znanych niewygod komunalnych, handlowych, oświatowych i kulturalnych — także o czymś mówią. Nie warto więc chyba dopuszczać w przyszłym 20-leciu do dalszego żywiołowego wzrostu ludności jednych miast — w jakiejś mierze kosztem urzędu starczego drugich.

tylko umiał zastępować starszych mężczyzn. Przez dwa lata. W jesieni 1942 r. nadeszła żałobna wieść: bohaterka śmiercią żołnierza zginął ojciec Iwana. Po roku następny cios: pod Smoleńskiem padł starszy brat, Piotr. Iwan poszedł mścić najbliższych. W zwycięskich ofensywach szedł na zachód. Oswobadzał Budapeszt, walczył w Alpach. Był dwa razy ranny, leczyl się, wracał na front. W kilka lat po zwycięstwie przydzielono go do berlińskiej komendatury.

W lipcu 1948 roku, w Dniu Sportowca, żołnierze garnizonu zorganizowali spartakiadę na jednym z odbudowanych stadionów. Do Iwana Odarczenko poszedł skromnie wyglądający cywil.

— Dzień dobry. Jestem rzeźbiarzem. Chciałbym abyście pozowali mi przez kilka godzin dziennie. Mam zrobić tu w Berlinie pomnik Żołnierza-Zwycięzcy. Nie macie nic przeciwko temu?...

Zgodził się. A później ludzie przechodzący koło pomnika mauzoleum spoglądali ze zdziwieniem w górę i w dół, gdzie stał na honorowej warcie radziecki żołnierz z pięcioma orderami na piersi, „Co to — halucynacja czy przewidzenie. Uderzające podobieństwo...”

Po demobilizacji Odarczenko przyjechał do Tambowa. Został robotnikiem tokarzem, frezerem i preserem. Jednym z lepszych i najbardziej wykwalifikowanych majstrów swego fachu.

...dzień 4 października 1957 roku

„W Kosmosie — pierwszy satelita!” — miliony ludzi zrozumiało, że nastąpiła nowa, kosmiczna era.

Z przejęciem słuchał komunikatów TASS, dwudziestoletni student moskiewskiego Instytutu Medycyny — Boris Jegorow.

Jak w szkole średniej wszyscy wiedzieli, że ma on zacięcie naukowca-badawcy. Potwierdził to później, wybierając wydział medycyny lotniczej i kosmicznej. Jeszcze w czasie studiów wysłano go na praktykę do jednej z wielu naukowobadawczych placówek. Często wieczorami, po zajęciach w Instytucie, Jegorow przesiadywał przy doświadczałnej kamerze i przez wizjer

Dokończenie na str. 2

Michał Apeniński

Sztafeta ojców i dzieci

Cztery życiorysy. Na pierwszy rzut oka wydawać by się mogło, że jest w nich tylko jedna wspólna cecha. Każdy z bohaterów naszej opowieści miał 20 lat kiedy przychodziły wydarzenia będące wybitnymi etapami historii Związku Radzieckiego. 1917 roku — Rewolucja Październikowa. 1925 — początek industrializacji ZSRR. 1945 — zwycięstwo nad hitlerowskimi Niemcami. 1957 — poszybował pierwszy sztuczny satelita Ziemi.

Każdy z naszych bohaterów stał w centrum tych wydarzeń, gdyż pierwszy z nich był żołnierzem Rewolucji, drugi budował Magnitogorsk, trzeci był żołnierzem zwycięskiej Armii Radzieckiej, czwarty jest kosmonautą.

Gdy zapoznacie się z tymi sylwetkami dojdziecie do wniosku, że jest w nich dużo więcej wspólnego niż to się wydaje. Wszyscy byli synami Rosji, uczestnikami wielkiej sztafety dziejów. Jeden od drugiego przejmował pałeczkę zadań na wielkiej drodze, po której szła ich ojczyzna. Zmieniały się pokolenia, dzieci przychodziły na miejsce ojców, a potężny kraj gromadził nowy zapas sił.

„Precz z carem!”

Iwan Riasniański, wnuk pańszczyźnianego chłopca, syn robotnika, dwudziestoletni żołnierz, dowodził się o upadku caratu w okopach pierwszej wojny światowej. Wybrany do rady żołnierskiej wydał zbuntowanym żołnierzom krótki rozkaz: do domów! Koniec z wojną!

Ale stary świat nie poddawał się bez walki. W Kijowie Riasniański dostał się znów w wir rewolucyjnych wydarzeń. Poszedł na ochotnika do robotniczych drużyn robotniczych. Odbudował Kreszczatik, dworzec, arsenał. Pewnej nocy w mrocznym wagonie napisał podanie o przyjęcie do partii. Po paru dniach otrzymał legitymację i pierwsze partyjne zadanie. Jechał do Kupriańska i przystąpił natychmiast do formowania rewolucyjnego oddziału. Został dowódcą tego oddziału, później

komisarzem pułku karabinów maszynowych w słynnej Brygadzie Siwersa. Brał udział w ciężkich bojach z wojskami Denikina. Walczył ze śmiercią i w boju i na łóżku szpitalnym, chory na tyfus. Wyleczył się. Znowu walczył. Na jednym postoju dowiedział się, że denikinowcy zajęli Kupriańsk i bestialsko zamordowali jego ojca.

W lecie 1918 roku wezwał go do siebie Podwojski. „Trzeba zawieźć do Moskwy kilka wagonów z żywnością, a stamtąd przywieźć broń” — powiedział. Zadanie było piekielnie trudne. Riasniański z lekkim wahaniem w głosie wykrzyknął służbowo „tak jest”. „O to proszę sam Lenin” — dodał Podwojski.

To imię znaczyło dla żołnierzy rewolucji wszystko co najdroższe. Imię-symbol. Po chwili, w pokoju w którym odbierał potrzebne doku-

Magnetycznej w południowym Uralu budować metalurgiczny kombinat, jeden z pierwszych gigantów przemysłowych w Związku Radzieckim. Tysiące dziewcząt i chłopców pojechało budować słynną „Magnitkę”. 31 stycznia 1931 roku zapłonął pierwszy wielki piec.

Któż z budowniczych Magnitogorska nie znał Grisi Pietielina? Do czasu „Magnitki” nie nadzwyczajnego nie było w jego życiorysie. Miał trzynaście lat jak wstąpił do Komсомоłu, czternaście kiedy został sekretarzem rejonu. Szkoła, fabryka, praca w Komsomole.

Ale na Magnitce urosły mu skrzydła. Był zawsze na pierwszej linii szturm — właśnie szturm, bo tak można tylko nazwać te pierwsze dni budowy. Główną bronią tej walki o bezcenny metal był fantastyczny entuzjazm budowniczych. Grisza po-

50 LAT WŁADZY RADZIECKIEJ

menty zobaczył i poznał Lenina. Przysiągł sobie, że wykona zlecenie mu zadanie bez względu na przeszkody. I wykonał.

Front. Walki z bandami. Odbudowa i znów walki. Ranny pod Uriupino wychodzi ze szpitala na „lżejszy odcinek pracy”, do specjalnego oddziału zwalczania band. Skończyła się wojna. Wraca do Kupriańska, kieruje odbudową zniszczonego miasta, gdy napada nań nowa banda. Z garstką towarzyszy rozgromił półtoratysięczny oddział organizując zasadzkę na dworcu.

Idą lata... Studiuje marksizm, język angielski, gramatykę rosyjską. Uczy się i pracuje. Pracuje i uczy się. Wszędzie, na uniwersytecie robotniczym, w bibliotekach, w domu. Kończy studia prawnicze. Przez pięć ostatnich lat jest dyplomata.

Na budowach nowi ludzie

XIV Zjazd Partii powziął uchwałę o industrializacji kraju. W 1929 roku rozpoczęto na stokach góry

siadał zaś bezcenny dar zarażania ludzi swoją niewyczerpaną energią i entuzjazmem.

Tak też nazywano młodych ludzi: bataliony entuzjastów. Pierwszy, drugi, trzeci. Ich dewizą było hasło: dopóki nie zrobimy dwóch norm nie schodzimy ze zmiany. Zmęczeniu a jednak z komсомolską pieśnią na ustach wracali późnym wieczorem do baraków. To o nich pisał Włodzimierz Majakowski: „Ja wierzę, że będzie miasto, wierzę, że rozkwitnie kwiat, gdy takie plemię wzrasta w Kraju Republik Rad”.

To oni zbudowali przemysłową potęgę radzieckiej Rosji i gdy przyszedł czas najwyższej próby, na swoje barki wzięli największe ciężary.

A obok nich stanęły ich dzieci...

Już pierwszego dnia wojny ojciec i starszy brat Iwana Odarczenko znaleźli się na froncie. Piętnastoletni chłopiec został w kolchozie i jak

NIEZNANE LISTY REYMONTA

Na 100-lecie urodzin Reymonta, które przypadają w maju br. otrzymamy nie lada prezent: 13 nieznanych dotąd, niepublikowanych listów autora „Chłopów”. Zanim ujrzycie je jednak w osobnej książeczce, warto przedtem wiedzieć o czym one mówią i do kogo były adresowane.

A więc dawno, dawno temu, bo w czasie I wojny światowej niejaki Frank Louis Schoell — Szwajcar z pochodzenia, przypadkiem zetknął się z językiem polskim, a później z „Chłopami”. Zachwycił się nimi, za brał się do tłumaczenia. Jeszcze wtedy nikomu się nie śniło, że „Chłopi” dostaną nagrodę Nobla.

I odtąd rozpoczyna się korespondencja Schoella z Reymontem. Pierwsze listy pochodzą z połowy 1919 r. W lipcu, z chicagowskiego Hotelu Plaza pisze Reymont do tłumacza:

„Zwracam rękopis „Chłopów” i o ile wystarczy moja znajomość francuszczyzny, przekład pański jest bardzo wierny, a przy tym robi wrażenie prostoty czyli możliwie jak najbardziej oddaje oryginał. Bardzo bym się cieszył, żeby „Chłopi” mogli wyjść w książce jak najprędzej”.

Sztafeta ojców i dzieci

Dokończenie ze str. 1

obserwował znajdującego się w niej kandydata na kosmonautę.

Obserwacje te wykorzystał przy pisaniu swoich pierwszych prac naukowych z zakresu medycyny kosmicznej. Dziesięć takich prac wydano drukiem.

Niezależnie od tego młody naukowiec wzbogacał zakres swych doświadczeń przez ćwiczenia sportowe potrzebne kosmonautom. Ćwiczył w grupie lekarzy-spadochroniarzy, którzy przygotowywali się do badań kosmonautów lądujących po locie kosmicznym. Sam wykonał 11 skoków. Został instruktorem alpinistyki i około 20 razy wspinał się na najwyższe kaukaskie szczyty.

I wreszcie nadszedł upragniony dzień. Borys Jegorow został lekarzem-kosmonautą, który zdawał swój praktyczny egzamin w kabinie pierwszego na świecie trzymiejsowego statku kosmicznego.

Kiedy na Placu Czerwonym w Moskwie tysiące ludzi oczekiwało na ukazanie się trzech kolejnych bohaterów Kosmosu, mali chłopcy ze szkół podstawowych mozolnie malowali na wielkich arkuszach powitalne plakaty: „Niech żyje rosyjska trojka!”.

✱

Czym przywita Kraj Rad taki dzień, w którym malcy z Czerwonego Placu będą mieli po dwadzieścia lat?

MICHAŁ APENIŃSKI

A potem jak to zwykle bywa — następują pertraktacje z chytrym paryskim wydawcą Payotem. 7 grudnia tegoż roku Reymont pisze o otrzymaniu rękopisu i zawarciu umowy. „(...) Nędzna jest ta umowa, da jąca wszelkie korzyści jedynie wydawcy i wydająca mnie na jego łup. Ja jestem w kraju od 10 października i niestety ciągle choruję. Siedzę teraz w naszych górach i zaczy nam kreślić swoje amerykańskie wrażenia, wolno to idzie gdyż czuję się wciąż źle, no i sprawy krajowe też nie pomagają do spokojnego od dawania się pracy”.

Payot postępuje potem bardzo nieładnie, zwraca powieść i nie chce podjąć się jej wydania. Rozżalony Schoell martwi się: „Co z tym zrobić, to jest jakieś osiemset stron ma szynopisu?...”, a potem zabiera tłumaczenie to do Berkley, gdzie wykłada na kalifornijskim uniwersytecie.

Mija pięć lat i nagle nieoczekiwanie przychodzi chwila triumfu, wraz z depeszą od Payota, który dowiedziawszy się o nagrodzie Nobla przyznanej „Chłopom” telegrafuje do Schoella: „Proszę szybko wysłać pierwszą porę roku!”. Reymont listem z dnia 13 grudnia 1924 r. dzieli się swą radością z Schoellem, choć zatruwa mu ją klimat francuskich stosunków wydawniczych („Stosunki wydawnicze francuskie — pisze — nawet w porównaniu z naszymi w Polsce są dla autorów bardzo nędzne i prosto niewolnicze”) oraz ciężka choroba;

„Choruję od dwóch lat na serce i naturalnie jest mi coraz gorzej. Drużę już zimę przepędzam w Nizzy. Coś mi to pomaga, niewiele jednak (...) Nagroda Nobla spadła na mnie prawdziwym gromem niespodzianki, gdyż pomimo kandydatury

urzędowo postawionej przez Akademię krakowską nie przypuszczałem możliwości zwycięstwa. (...) Nie narzekam na zwycięstwo, ale nie dało mi ono takiej radości, jaka myślałem, że przynosi. Jakże chory jestem, bez sił, cóż mi po sławie i pieśniach. Los zadrwił sobie ze mnie”.

Cały rok 1925 jest rokiem ożywionej korespondencji tłumacza i pisarza. 25 stycznia autor „Chłopów” pisze:

„Przed wszystkim oznajmiam, że będziemy w Paryżu na 10 maja. (...) Składa się więc doskonale, że i Sza nowni państwo przyjadą w tym samym czasie. Dobrze będzie dla porozumień literackich i jeszcze lepiej dla nas. (...) A teraz druga sprawa. Kontrakt z Payotem już podpisałem, bardzo pocztowie pośredniczył pan Zaleski. „Chłopi” wyjdą w czterech tomach, każdy pod swoją nazwą po trzy roku. Payot płaci mi 8 procent. Niewiele, ale zgodzić się musiałem, aby już raz skończyć z tą książką”. Po powrocie z Paryża przychodzi jeszcze kilka listów. Ten trzynasty z 25 listopada 1925 roku pisany z Warszawy z mieszkania przy ulicy Górnośląskiej 16, był ostatni:

„Szanowny i Drogi Panie!

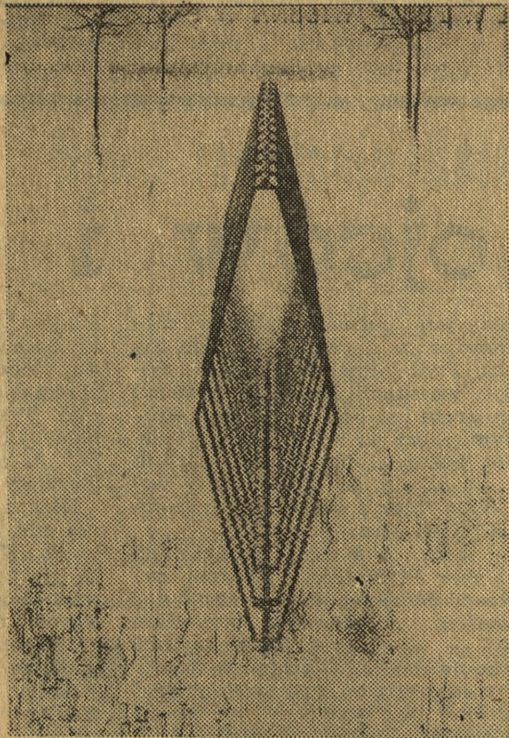
Parę dni temu otrzymałem z Paryża II tom „Chłopów” (...) Choruję ciągle i nawet pisanie przychodzi z pewnym trudem. Dzisiaj umarł Żeromski, cios to dla mnie okrutny z wielu powodów. Umarł na serce. Był o parę lat starszy ode mnie, ale miał szaloną wolę życia i energię. Strata to dla polskiej literatury niezastąpiona. Uwielbiałem go jako genialnego pisarza. Naturalnie, ta nagła śmierć źle podziałała na mój stan zdrowia. Teraz bowiem na mnie przychodzi kolej umierania...”

Schoell otrzymał ten list już po śmierci autora; dowiedział się bowiem z wcześniejszych gazet, że umarł autor „Chłopów”.

... Wszystkie te listy Reymonta leżały przez 42 lata w biurku prof. Schoella w Szwajcarii. Aż szczęśliwym trafem, dowiedział się o tym w rozmowie z profesorem, dr. Bronisław Miazgowski i zainteresował nimi wydawnictwo PIW i mnie.

I stąd ta urodzinowa niespodzianka!

Kompozycja



Fot. — K. Przychodźki

Przeglądamy Prasę

ZANIM DASZ SŁOWO

Podobno jakiś przewodniczący jednej z organizacji, chcąc by zwoływane przez niego zebrania rozpoczynały się punktualnie, posługuje się skomplikowanym wykresem, w którym uwidocznione są przewidywane spóźnienia poszczególnych uczestników posiedzenia; z doświadczenia wie bowiem, że ktoś zawsze z reguły spóźnia się o 10 minut, ktoś inny o 20, a jeszcze inny o 30. Jeśli więc zebranie ma rozpocząć się punktualnie, tak by inni nie tracili czasu z powodu spóźniających, ów przewodniczący zaprasza poszczególnych osoby na różne godziny, co w rezultacie umożliwia rozpoczęcie posiedzenia o z góry pomyślanej porze. Może to nawet nie anegdota, bo z punktualnością jak pisze Henryk Jankowski w „Argumentach” — jest tak jak z paleniem papierosów.

„Wszyscy, a w szczególności palacze, uznają, iż papierosy szkoda, co nie przeszkadza im w dalszym ciągu zatruwać się nikotyną. Nie ma człowieka, który by twierdził, iż punktualność jest wadą, a jednocześnie by nie przekraczał zasady zalecającej punktualność.”

Autorowi chodzi wszakże o ogólniejszy problem moralny, o odpowiedzialność za słowo. Bo dotrzymywanie słowa to nie tylko kwestia obyczajów, grzeczności, ale także moralności. Warto to sobie uprzytomnić, skoro w naszym społeczeństwie odpowiedzialność za słowo nie jest cechą bynajmniej najbardziej rozpowszechnioną. Ba, wielu dąży nawet do tego, by czuć się zwolnionym z obowiązku dotrzymywania swych zobowiązań.

„Zresztą praktyki takie — pisze Jankowski — przybrały już charakter instytucjonalny. Przejawia się to w licznych wywieszkach, z których treść wynika, iż np. „zakład nie ponosi odpowiedzialności za garderobę klientów”, „hotel nie ponosi odpowiedzialności za ewentualną kradzież cennych przedmiotów pozostawionych w pokojach hotelowych”, zaś „pralnia chemiczna nie ponosi odpowiedzialności za zamki, guziki i kłamry pranej garderoby oraz nie gwarantuje terminowego wykonania usług a ponadto wywabienia wszelkich plam.”

I tak, gdzie się człowiek obejrzy, tam przesadna troska o odpowiedzialność za słowo przejawia się po prostu w deklarowaniu swej programowej odpowiedzialności. Analogicznie więc np. złodziej mógłby domagać się uniewinnienia przed sądem, gdyby publicznie wszem i wobec ogłosił, że jest złodziejem, a następnie z czystym sumieniem dokonywał kradzieży.”

Rzecz jasna nie chodzi o odpowiedzialność za takie słowa, jak tu cytowane, bo odpowiedzialność za słowo nie może służyć jako usprawiedliwienie uchylania się od wykonywania elementarnych obowiązków.

ROZPOZNANIE: „NOWOTWÓR” — WYROKIEM!

Tylko 1,4 proc. zapytywanych o to mieszkańców Warszawy wierzy w możliwość wy-

Eugeniusz Paukšta

Użyłem liczby mnogiej w tytule, bo nie tylko o jednej z wojaczek chciałbym tu mówić w oparciu o nowe pozycje MON-u. Tyczą one zarówno spraw znanych nam z bezpośrednich przeżyć jak i bardzo odległych w czasie, a wszakże bliższych...

Jak ta książka — inicjująca nową serię MON-owską, pamiątków polskich związanych z dziejami dawnych wojen i dawnej wojskowości — a mianowicie „Lata Potopu 1655 — 1657” Wespazjana Kochowskiego; w przekładzie z łaciny i wyborze Leszka Kukulskiego, ze wstępem Juliana Krzyżanowskiego, z postowiem, indeksami i przypisami Adama Kerstena. Uczeszyłem się z tego wydania, znając poprzednią edycję jeszcze Raczyńskiego z 1859 r., bardzo dowolną i w niejednym nieścisłą. Rzecz, o której mowa,

Wojny we wspomnieniach

to zręczny wybór z pracy znacznie szerszej i związanej ze znacznie dłuższym okresem, z tzw. „Klimakterów” spisanych przez Kochowskiego, dziejopisa JKMości. Pelen to życia i werwy tekst, przetkany obyczajowymi i politycznymi dygresjami, dosadnie ilustrujący dzieje „potopu”, aż po czas przeniesienia scenarii wojennej poza granice Polski. Lektura nie tylko dla specjalistów, ale i dla szerokiego odbiorcy.

A teraz rewelacja historyczno-wydawnicza. Tytuł dzieła: „Czy Polacy wybić się mogą na niepodległość”, tekst w swoim czasie wydawany anonimowo (w latach 1831—43 aż 7 wydań), napisany przez Józefa Pawlikowskiego, sekretarza Kościuszki, będący formą połączonej dysertacji historycznej, apelu wolnościowego, a zarazem dokumentu swojej epoki. Tekst przygotował do druku i opatrzył wstępem Emanuel Halić. Na tym miejscu warto podkreślić szczególną troskę Wydawnictwa MON o odpowiednie przygotowanie tekstów o wysoki poziom komentarza, o dbałość edytorską. Wzbogaca się tym samym kapitał wiedzy o narodowej przeszłości.

A teraz dwie książki związane z Francją. Pierwsza to książka dość osobliwa, pasjonująca a zarazem trudna w odbiorze. Myślę tutaj o nowej pozycji autora „Łun w Bieszczadach”, Jana Gerharda — „Niecierpliwości”. Jest to forma powieści, traktowanej

bardzo śmiało i nieobowiązująco w odniesieniu do utartych konwencji. Gerhard wrywa tok narracji, rozwala ramy chronologiczne, żongluje dygresjami, fabule traktuje jako pretekst. Francja ukazana tu jest bardzo szeroko, od tła okupacyjnych wspomnień związanych z udziałem autora w ruchu oporu, po cały okres powojenny. A zarazem jakże bogata tu strona obyczajowa, polityczna, społeczna. Wiele dygresji wykraczających poza Francję, odnoszących się do nas samych, wiele śmiałości, choć zaskakujących spostrzeżeń, przemyśleń, wniosków. Zmienność scenerii, wątków, problemów, zarazem zmienność środków wyrazu, form pisarskich — pociągają w tej książce, będącej wyrazem naszej niecierpliwości w stosunku do świata i do samych siebie.

Czyś zupełnie innym jest tom „Gdzieś we Francji” Andrzeja Przypkowskiego. Ta powieść opar-

ta jest o autentyk, ambicjami zaś nie wybiega poza pragnienie ukazania szerokiego odcinka działania Francuskiego Ruchu Oporu na przykładzie organizacji „Koziorożca”. Książka odświeża często zupełnie nieznane nam karty działania konspiracji francuskiej, jej złożoność i różnorodność. Francja i ta paryska i ta z małych miast i głuchych wiosek odżywa na tych dobrze napisanych kartach. Nader istotną sprawą jest też przeniesienie zakończenia na czas kilkunastu lat po wojnie. Okazuje się, tamte dawne sprawy nie zamarty, żyją wciąż jeszcze, między innymi w tych, którzy z osobistych względów pragnęliby zatrzeć ślady istnienia i działania „Koziorożca”.

Skoro zaś o minionej wojnie, to warto zalecić bardzo szczerą, bezpretensjonalną, ale frapującą relację dowódcy radzieckiej łodzi podwodnej S-56, operującej m. in. na Dalekim Wschodzie i na Północnym Oceanie Lodowatym. G. Szczedrin w tomie „Na pokładzie S-56” po żołniersku, ale może dlatego tym bardziej wstrząsająco, ukazał mało właściwie znany nam uycinek wojennych frontów. Dramat walki łączy się tu z niejednym dramatem człowieka. Zwycięża bohaterstwo, poświęcenie, świadomość wagi pełnionej służby.

Z KSIĄŻKA NA TY

Ambicje

Dokończenie ze str. 1

tak często prowadzące do „rodzinnych” konfliktów. Są te ambicje uzasadnione i wyimaginowane, poparte i nie poparte zdolnościami organizacyjnymi, ofiarnością i pracą. Kto o tych sprawach wie i wyciąga z nich wnioski dla siebie, ten nie zginie w miasteczku.

Jest tu coś, co socjologowie i etnografowie nazywają akulturacją,

czyli procesem wynikłym ze ścierania się różnych kultur: wiejskiej i miejskiej, coś z dysharmonii kulturowej, prowadzącej jednak w konsekwencji do harmonii. Bo ludzie miasteczka — jak ludzie — stają w obronie swojego wniesionego i zachowywanego dziedzictwa kulturowego; tak długo aż górę nad nimi weźmie patriotyzm lokalny i sprzęży ambicje, chęć i umiejętności dla nadania środowisku mieszkalnemu nowego bardziej jednolitego zdrowego oblicza. Na to jednak potrzebny jest czas — dobry dyplomata, wychowawca i lekarz.

JÓZEF PIEPRZYK

ALARM ALKOHOŁOWY TRWA!

Mamy podobno najlepszą w świecie ustawę antyalkoholową, ale jednocześnie w całym kraju 600 tys. alkoholików, z których 400 tys. wymaga leczenia w szpitalach. W naszym kraju przepija się rocznie 30 mld. złotych, przy czym przeciętny Polak na alkohol wydaje więcej niż na pieczywo, mąkę i kaszę, lub na warzywa i owoce, względnie na cukier i słodycze. Ludzie piją, nie pomijając żadnych okazji, a przy sposobności popełniają niejedno przestępstwo: 70 proc. przestępstw kryminalnych popełnianych jest w związku z alkoholem.

Problem więc ważny i poważny. Przy tym stale aktualna jest sprawa leczenia alkoholików. I świat medyczny i działacze społeczni są na ogół zgodni co do tego, że skuteczne jest leczenie tych alkoholików, którzy poddają się temu dobrowolnie. Mniej skuteczne, często w ogóle nieskuteczne jest natomiast leczenie przymusowe. Stąd takie kontrowersyjne poglądy, które referuje Barbara Seidler na łamach „Życia Literackiego”: jedni mówią, że alkoholicy powinni być leczeni w szpitalach psychiatrycznych, inni uważają, że nie ma sensu i potrzeby stwarzania warunków sanatoryjnych nałogowym alkoholikom. Ci ostatni wskazują, że jedynym wyjściem dla nałogowców jest praca i odcięcie od możliwości picia. Wskazują przy tym, że potrzebne jest masowe szczepienie alkoholików esperalem i w tym widzą najbardziej skuteczny sposób przeciwdziałania bolącej pladze społecznej. Dotyczy to oczywiście nałogowców, burzących spójny rodzin, naruszających porządek publiczny nierzadko wchodzących w kolizję z prawem. Czy można się godzić z tym by im fundować sanatoria? LEKTOR